

Kronika tygodniowa.

Teraz nie ulga już najmniejszej wątpliwości, że wojna musi się skończyć i to bardzo rychło, chyba, gdyby zaszły jakieś nadzwyczajne przeszkody.

Wnoszę to zaś z tego, iż, jak przed wybuchem wojny rodziły się prawie same osobniki płci męskiej, teraz przyszła kolej na płęć nadobną. Gdzie kogo spotkam, dowiaduję się o przyjściu na świat córeczki.

Onegdaj widzę w pewnym odcinku pana radcę, o którym wiem, iż spodziewał się w tym właśnie czasie odwieziny bociana (chyba jego żona... *przyj. zecera*). Z wesołej jego miny, jako iż z natury jestem bardzo domyślny, wywnioskowałem zaraz, że coś już jest, więc pytam:

— I cóż tam słyhać u radcy dobrodzieja?

— Ano nic! — odparł. — Wszystko w porządku. Jest córeczka.

— Gratuluję!

— Niema czego! Trzeba zbierać dla niej posag. A to już druga... W tamtym roku była jedna, nie miałem dotąd czasu, by zebrać dla niej odpowiedni kapitał... Jest tam wprawdzie kilkanaście tysięcy odłożonych... Teraz trzeba myśleć i o drugiej!

— Życzę doprowadzenia do tuzina!

— Dziękuję, ale nie ręczę, czy się uda...

— Jeśli są tylko dobre chęci, wszystko będzie w porządku.

— I ja jestem tego samego zdania.

— W takim razie napijmy się po kieliszku starki...

— Owszem! Na zdrowie nowej obywatelki rozszerzonego miasta Krakowa. Niech się chowa, a tato niech zbiera dla niej koronki i guldeny!

W kilka godzin spotykam znów znajomego majora, o którym byłem przekonany, że bawi gdzieś na wschodnim froncie.

— Pan major w Krakowie? — pytam ciekawie.

— Jak pan widzi! — odparł.

— Na stałe, czy chwilowo? — badam dalej, by na wszelki wypadek zabrać materiały do wywiadu.

— Czternastodniowy urlop. Przyjechałem powitać nowonarodzoną córeczkę...

— Gratuluję!

— Niema czego! Trzeba dla niej zbierać posag. Przyznam się, że wolabym syna, bo to z chłopakiem mniej potem kłopotu.

— Co się odwleczę, to nie ucieczę... Życzę doprowadzenia do tuzina. Najlepiej byłoby dla utrzymania równowagi, gdyby tak udało się panu majorowi postarać się o sześciu synów i sześć córek...

— Zastanowię się nad tem!... Możebyśmy napili się po kieliszku starki?

— Owszem! Na zdrowie nowej obywatelki rozszerzonego miasta Krakowa. Wprawdzie jestem czynnym członkiem „Eleuteryi“, ale w takich wyjątkowych wypadkach nie odmawiam nigdy. Niech się chowa zdrowo, a tato niech zbiera dla niej posag...

— Dziękuję! Jakoś to będzie...

Co się mnie tyczy, to mam już materiały do dwu dramatów, które zamierzam opracować i wystawić na scenie, a jestem przekonany, że w podziw wprawia i krytykę i publiczność teatralną, są to bowiem tematy wzięte wprost z życia. Tytuł pierwszego: „Niespokojni sąsiedzi, czyli potrzaskany gramofon“, drugiego: „Starpolska gościnność, albo wysmarowanie bramy i ogrodzeń mazia“.

Płęć żeńska bierze górę nie tylko u ludzi, ale i u wiecjonożnych stworzeń, co na własne oczy skonstatowałem, czuję więc, że czas pokoju się zbliża i maluczko już, a ujrzymy anioła pokoju z różdżką oliwą w dłoni i z parasolem zamiast miecza.

A byłby już najwyższy czas, gdyż grozi nam znów brak tytoniu, bez którego nie jeden obejść się nie jest w stanie. Trafikanci już dziś mają rzadkie miny, a cóż dopiero będzie później?... Chyba, że kto wpadnie na jakiś nowy pomysł i postara się o zastąpienie tytoniu jakim innym materiałem, choć już dziś mówią złośliwi, że liście kapuściane i buraczane nadają się bardzo do tego celu, są bowiem nie tylko zdrowe i smaczne, ale, co najważniejsza, dym z nich jest bardzo pożywny. Mogą więc doskonale zastąpić tytoń tak samo, jak kotek zastępuje nieraz chwilowo zająca.

Miałem zamiar urządzić w sprawie tytoniowej wywiad z panną Zosią z głównej trafiki, przeszkodził temu jednak pan właściciel, oświadczając, że na

to niema czasu w godzinach urzędowych. Wobec tego napisałem list do pana ministra skarbu, narzekając, że nie mam co palić, a chyba nie powinno się Krakowa traktować tak po macoszu i dawać mu mniej, niż takiemu na przykład Sączowi, gdzie tytoniu, papierosów i cygar jest aż za dużo. Gdyby mi dano przynajmniej wolny bilet kolejowy, jeździłbym sobie tam, ilekroć braknie mi tytoniu. Ale na własny koszt nie myślę. Wolę raczej nie puszczać wonnych dymków.

Na moje ręce nadeszło w tej materii około sto zażaleń od palaczy i tabaczarzy, w swoim czasie przedłożył je panu ministrowi skarbu z odpowiednim memoryałem.

Z chlebem i mąką także nie jest lepiej. Od przyszłego tygodnia zaczynają obowiązywać nowe skurczone karty chlebowe, na mocy których kawalerowie będą zmuszeni do ograniczenia o jedną trzecią swego apetytu, wobec czego stracą też na wadze i objętości, co zaś za tem idzie, mniej będą potrzebować materii na ubranie, więc tyle w tem zysku. Dlaczego jednak kawaler ma jeść mniej, niż żonaty, tego ja w żaden sposób pojąć nie mogę, sam przecież ongiś byłem kawalerem i wiem, że cieszyłem się wówczas niezgorzszym apetytem. Dziś jestem żonaty, nie mam zębów, nie mam *ergo* i apetytu, często też część swej karty chlebowej ofiaruję temu lub owemu z owych samodzińców.

Jest podobno mąka rumuńska, ale ludzie na nią już narzekają, zwłaszcza zaś owe dwie niewiasty, które w Karmelickiej ulicy przejechał wóz, tą właśnie mąką naładowany.

Bywalczy kawiarniani płaczą gorzko nad ś. p. białą kawą, która prawie zupełnie znikła z horyzontu. Zastąpiła ją czarna (lekko rumkiem zakrapiana) i herbatka, coraz jednak cieńsza. Do tego dodać należy, że niewolno wypiekać ciastek z maki, czemuż więc ma sobie przeciętny śmiertelnik osłodzić swą gorzką dolę? Wprawdzie uczą nas, że wszelkie słodczyce należy sobie zostawić na życie przyszłe, nikt przecież nie byłby od tego, by bodaj od czasu do czasu lyknać i gryznąć coś słodkiego.

Choć może to i lepiej, że nie wolno nadużywać białej kawy, wyczytałem bowiem w „Kuryerku“, którego jestem stałym wielbiciele, (jeden z mych znajomych powiedziałby „lubieżnikiem“), że z mleka i masła wyrabia się różne materiały wybuchowe. Na męsło się nie godzę, mleko i owszem. Sam się o tem przekonałem, objadłszy się raz kwaśnego mleka z ziemniakami. Co chwila groziła eksplozycja, silnej tylko konstytucji cielesnej zawdzięczam, że nie rozszarpało mnie na kawałki. A co by to była za szkoda! Kto byłby dziś pisał kroniki w *Nowościach Ilustrowanych*?

Skoro już poruszam same braki, wspomnę też i o piwie, którego dają nam coraz mniej, co nas, wychowanych przeważnie na flaszeczce, w czarną graży rozpacz! I czemuż tu zastąpić pilzneński nektar lub choćby okocimski, gdy ta gorzka lura, jaką nas poją po handelkach i restauracjach, miana piwa nawet nie jest godną!... Dobra ona, ale chyba na nasiadówki... jak ongiś powiedział w irytacji jeden z krakowskich piwoszców, który z tego tylko powodu stracił już kilkanaście kilogramów ze swej żywej wagi.

Ostatecznie więc zalewamy robaka czarnem piwem, czyli portere, który ma tą zaletę, że przynajmniej nie widać w nim muchy, która przez utopienie popełni samobójstwo. Poznasz to dopiero wtedy, gdy ją połkniesz i prawdopodobnie dlatęgo orzekły powagi lekarskie, że porter jest bardzo pożywny, więc polecają go chorym.

Gdy jednak „porteromania“ angielska, żywiecka lub choćby tęczuńska, zaczęła się coraz bardziej rozszerzać, panowie kupcy i szynkarze postanowili i na tem zrobić brylantowy interes. W składzie piwa żywieckiego przy ulicy św. Anny flaszeczka portera (nawiasem mówiąc bardzo dobrego i prawie nie ustępującego pod względem smaku oryginalnemu angielskiemu) kosztuje coś około dwadzieścia pięć centów, w pewnym zaś lokalu za tę samą flaszkę kazano mi zapłacić aż czterdzieści.

Złapałem się za głowę!

— Co!? Czterdzieści!... — zawołałem z rozpaczą. — I wy macie sumienie tak żywcem obdzierać nas ze skóry? Za otwarcie flaszki i podanie jej nam ze szklanką aż piętnaście centów?... To trochę za wiele!...

— Tak się panu dobrodziejowi tylko wydaje — odparł kupiec — proszę tylko policzyć lokal, gaz, opał, usługę, podatki... A co się zniszczy... A ile personal wypije... Za to wszystko gość musi płacić...

— Jeśli tak — odparłem — w takim razie sami nas zmuszacie do wstąpienia w szeregi „Eleuteryi“. Ale cóż robić, trzeba płacić, skoro człowiek ma

pragnienie, które musi ugasić. Kniemy więc, ale pijemy!

Dla zrównoważenia tych wszystkich braków, które już odczuwamy lub które nam dopiero grożą, znalazło się przecież coś, czego mamy zbyt wiele. O długach nie mówię, by nie wywoływać wilka z lasu, bo to, dzięki panu Bazesowi, moratorium dyabli już wzięli, ale o gąsienicach, o których wyczytałem także w „Kuryerku“.

Powiadają tam, że należy je tępić, ja przecież jestem zupełnie innego zdania. Owszem, pozwólmy się im należycie rozwinąć, a kto wie, czy nie znajdzie się znowu jakiś domorosły gastronom, który wymyśli bardzo dobry przepis na przygotowanie ich jako potrawy. Dajmy na to młoda gąsienica na kwaśno. Do przyprawy ich mógłby służyć ów tłuszczyk, wyrabiany z pomyj, o którym w swoim czasie tak wiele się pisało. Na te ciężkie czasy będzie to wynalazek prawdziwie epokowy, wiadomo bowiem, że młoda gąsienica jest przed przeobrażeniem się w poczwarkę nadzwyczaj tłusta, więc też *eo ipso* i pożywna.

Sfery miarodajne zechcą się nad tem zastanowić.

Zbliża się także czas, gdy na plantacjach i w ogrodach miejskich zaczną się gnieździć gawrony. Co rok wysyła za nimi magistrat ekspedycje karne, które niszczą ich ogniska domowe, w bieżącym radziłbym temu dać spokój, wedle bowiem opinii, zasięgniętej u jednego restauratora, znającego się na swym interesie, młode gawrony, wrony i kawki mogą bardzo dobrze zastąpić kuropatwy i kurczęta. Podobno jeden z krakowskich kościelnych od lat już wielu ma z tego bardzo ładny dochód. Kawki gnieźdzą się bardzo chętnie na wieży kościelnej, on im nie przeszkadza, lecz czeka, aż dorosną, a potem odstawia je do pewnej jadłodajni, gdzie pod różnymi nazwiskami zaspokajają głód stałych tamtejszych gości, chwalaćcych jeszcze gospodarza, że tak dba o ich zdrowie i po umiarkowanych cenach dostarcza im różnych „nowalijek“.

I gospodarz jest zadowolony i goście też. Czcigodny jadłodawca kieruje się zasadą, że nic w naturze nie powinno iść na marne. Sam słyszałem, jak dawał wskazówki swemu szefowi kuchni:

— Została kielbasa od wczoraj? — mówił. — To nic nie szkodzi. Dziś będzie z niej na kolację klops.

— A jeśli znów klops zostanie? — pytam z ciekawością.

— To pojutrze będzie z niego znów kielbasa! — objaśniał mnie łaskawie, wiedząc, że ja z tego chyba nie zrobię urzędowego użytku. Kronika przecież co innego, spis potraw co innego, choć także trzeba mieć bardzo bujną fantazję, by temu samemu kawałkowi mięsa, o ile on naturalnie podlany jest rozmaitymi sosami, nadać też i rozmaite nazwy, o ile możliwości przecież francuskie. Lepiej potrawa nawet smakuje, jeśli ludzie nie wiedzą, co spożywają.

Od gastronomii do astronomii jeden tylko skok i to niewielki, mogę więc sobie nań pozwolić, zwłaszcza, że znów *Kuryerek* wchodzi w grę, zaintrygował bowiem Krakowian artykułem, zatytułowanym: „Romans Wenery z Jowiszem“.

Zajęło mnie to bardzo. Dotąd żyliśmy pod znakiem Marsa, który po niebie uganiał za różnymi gwiazdami, obecnie władzę nad nami obejmuje sam Jowisz przy łaskawym współudziale „z piany morskiej zrodzonej“ Wenery, jasny więc znów dowód, że wojna, choćby nawet różne Asquithy, Briandy i Sonnina nie chciały, musi się skończyć.

W tym tygodniu miało nastąpić spotkanie Wenery z Jowiszem tuż nad naszymi głowami. Oznaczono punkt najpoufalszego zbliżenia się obojga na poniedziałek, godzina pierwsza w południe, więc na czas, kiedy astronom, choćby najdzielniejszy, „nie da rady“. Zjawisko to, o którym opowiadają ci, którzy go nigdy nie widzieli, ma być tak wspaniałe, że nawet ja sam, choć astronomem niejestem, postanowiłem się wybrać wieczór celem obserwacji. Niestety, padał deszcz i prócz parasola nad sobą nic nie widziałem.

